

POD ŻADNYM POZOREM NIE MOŻESZ PRZEGAPIĆ TEJ KSIĄŻKI!
JEST GENIALNA!

„Independent on Sunday”



**LISA
GARDNER**

W UKRYCIU

Nic tak nie zaostrza apetytu mordercy,
jak ofiara ukrywająca się w cieniu.

ALBATROS

AMERYKAŃSKA MISTRZYNI THRILLERA KRYMINALNEGO

Tytuł oryginału:
HIDE (DETECTIVE D.D. WARREN #2)

Copyright © Lisa Gardner, Inc. 2007
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Copyright © 2008, 2018 for the Polish translation by Katarzyna Procter-Chlebowska under exclusive license to „Sonia Draga” Sp. z o.o.,
sublicensed to Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Korekta: Sabina Raczyńska, Jolanta Rososińska

Zdjęcie na okładce: © Malajim Rábago/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rozdział 1

KIEDY MIAŁAM SIEDEM LAT, ojciec wytłumaczył mi, że świat to tylko rządzący się pewnymi prawami system, nic więcej. Systemem jest też szkoła. I sąsiedztwo. Miasta, władze, każda większa grupa ludzi. Idąc dalej, systemem jest też ludzkie ciało, napędzane do życia mniejszymi biologicznymi podsystemami.

Sądownictwo karne? System, bez dwóch zdań. Kościół katolicki. Zawody sportowe, Organizacja Narodów Zjednoczonych i oczywiście konkurs Miss America.

„Nie wszystkie systemy muszą ci się podobać – tłumaczył. – Nie musisz w nie wierzyć ani się z nimi zgadzać, ale musisz je zrozumieć. A jeśli poznasz prawa, którymi się rządzą, na pewno przetrwasz”.

Rodzina to też system.

TAMTEGO DNIA, GDY WRÓCIŁAM ze szkoły, zastałam oboje rodziców w salonie. Tata, profesor matematyki na MIT*, rzadko wracał do domu przed dziewiętnastą, wtedy czekał jednak przy ukochanej kwiecistej kanapie mamy, z pięcioma

*MIT, Massachusetts Institute of Technology, jedna z najbardziej renomowanych uczelni technicznych w USA.

walizkami u stóp. Mama płakała. Kiedy otworzyłam drzwi, próbowała się odwrócić, zasłaniając twarz, ale trudno było nie zauważyć, jak drżą jej od płaczu ramiona.

Oboje mieli na sobie grube wełniane płaszcze, co wydawało się dziwne, zważywszy, że październikowe popołudnie było dosyć ciepłe.

Pierwszy odezwał się ojciec:

– Musisz iść do swojego pokoju. Weź tylko dwie rzeczy. Jakikolwiek chcesz. Ale pośpiesz się, Annabelle, nie mamy zbyt wiele czasu.

Mamie coraz bardziej drżały dłonie. Odłożyłam tornister. Poszłam do swojego pokoju i stałam tam przez chwilę, starając się ogarnąć wzrokiem swoje różowo-zielone królestwo.

Ze wszystkich chwil mojego dzieciństwa to właśnie do tej najchętniej cofnęłabym się w czasie. Do tych trzech minut, które spędziłam w dziecięcym pokoju, delikatnie gładząc wyklejone nalepkami biurko, omijając oprawione zdjęcia dziadków, przeskakując nad grawerowaną posrebrzaną szcztoką do włosów i dużym podręcznym lusterkiem. Ominęłam książki. Kolekcja szklanych kulek odpadła na wstępie, podobnie jak stos przedszkolnych prac plastycznych. Pamiętam bolesny wybór pomiędzy moim ulubionym pluszowym psem a najnowszym skarbem, wystrojoną w strój weselny Barbie. W końcu wzięłam psa, Boomera, a potem chwyciłam ukochany kocyk z ciemnoróżowej flaneli, wykończony jasnoróżową satyną.

Nie pamiętnik. Nie pakiet śmiesznych pobazgranych liścików od najlepszej przyjaciółki, Dori Petracelli. Nawet nie album, dzięki któremu miałabym jakieś zdjęcia mamy na wszystkie te czekające mnie lata.

Byłam przerażoną małą dziewczynką i zachowałam się dziecinnie.

Myślę, że tata wiedział, co wybiorę. I chyba też wiedział,

co nas czeka. Już wtedy wiedział.

Wróciłam do salonu. Tata na zewnątrz pakował rzeczy do samochodu. Mama stała przytulona do kolumny oddzielającej salon od jadalni. Przez moment wydawało mi się, że nie będzie w stanie jej puścić, że postawi się ojcu, zażąda, by skończył z tą błazenadą.

Ale zbliżyła się do mnie i delikatnie odgarnęła kosmyk moich długich ciemnych włosów.

– Tak bardzo cię kocham. – Objęła mnie i mocno przytuliła, przyciskając czubek mojej głowy do swych mokrych od łez policzków. Po chwili odepchnęła mnie, pospiesznie wycierając twarz. – A teraz szybko przed dom, kochanie. Tata ma rację, musimy się pospieszyć.

Ściskając obiema rękami kocyk, z Boomerem pod pachą, podążyłam za nią do samochodu.

Każdy zajął swoje miejsce: tata za kierownicą, mama jako pilot na siedzeniu pasażera i ja z tyłu.

Tata wycofał naszą niewielką hondę z podjazdu. Za szybami samochodu tańczyły unoszone na wietrze żółto-pomarańczowe bukowe liście. Przytknęłam palce do szyby, jakbym próbowała je złapać.

– Pomachaj sąsiadom – nakazał ojciec. – Udawaj, że nie dzieje się nic nadzwyczajnego.

Wtedy po raz ostatni widzieliśmy uliczkę z rzędami dębów po obu stronach, przy której stał nasz dom.

Rodzina to system.

Pojechaliśmy do Tamy, bo – jak twierdził ojciec – mama zawsze chciała zobaczyć Florydę. Czyż po tylu zimach w Nowej Anglii nie byłoby wspaniale zamieszkać wśród palm i piaszczystych plaż?

Skoro mama wybrała lokalizację, tata wybrał nasze nowe imiona. Teraz nazywałam się Sally. Tata miał na imię Anthony, a mama Claire. Ale zabawa! Nowe miasto, nowe imię. To

dopiero przygoda!

Na początku miewałam koszmary. Straszne, okropne sny, po których budziłam się z krzykiem: „Widziałam coś! Widziałam coś!”.

– To tylko zły sen – mówił uspokajająco tata, głaszcząc mnie po plecach.

– Ale ja się boję!

– Ciiii. Jesteś jeszcze za mała, żeby wiedzieć, czym jest strach. Od tego są tatusiowie.

Nie mieszkaliśmy wśród palm i piaszczystych plaż. Rodzice nigdy o tym nie mówili, ale patrząc na to teraz, z perspektywy dorosłej osoby, wiem, że doktor matematyki, zwłaszcza pod przybranym nazwiskiem, nie mógł liczyć na posadę równie dobrą jak ta, którą zostawił. Tata został więc taksówkarzem. Polubiłam jego nową pracę. On mógł większą część dnia spędzać w domu, a ja wracać codziennie ze szkoły osobistą taksówką.

Moja nowa szkoła była większa. Nauczyciele więcej wymagali. Pewnie nawiązałam jakieś przyjaźnie, ale z czasów, kiedy mieszkaliśmy na Florydzie, tak naprawdę niewiele pamiętam. Mam raczej ogólne niewyraźne wspomnienia miejsca i czasu, który upływał mi, jak każdemu pierwszoklasiście, na przyswajaniu szkolnych technik przetrwania. Czasu, kiedy nawet rodzice wydawali się z innej planety.

Ojciec nic, tylko snuł się po niewielkim mieszkaniu, nieustannie nas zamęczając.

– Co ty na to, Sally? A może byśmy udekorowali palmę na Boże Narodzenie? O tak, doskonała zabawa!

Mama nuciła pod nosem zamyślona, malując salon farbami w koralowych odcieniach, chichotała, kupując strój kąpielowy w listopadzie, i wydawała się szczerze zaskoczona, ilekroć odkrywała kolejny przepis na przyrządzenie filetów z białej ryby.

Wydaje mi się, że rodzice byli szczęśliwi na Florydzie. A przynajmniej bardzo się starali. Mama urządziła nasze mieszkanie. Tata powrócił do dawnego hobby i znów rysował. W te wieczory, kiedy nie pracował, mama siadywała przy oknie, żeby mu pozować. Leżąc na kanapie, czerpałam prawdziwą przyjemność z obserwowania zręcznych dłoni ojca, które kilkoma zwinnymi pociągnięciami węgla drzewnego potrafiły uwiecznić zalotny uśmiech mamy.

Aż do dnia, w którym po przyjeździe ze szkoły ujrzałam spakowane walizki i ponure miny rodziców. Tym razem nie musiałam pytać. Sama pomaszerowałam do swojego pokoju. Zabrałam Boomera. Chwyciłam kocyk. Poszłam do samochodu i zajęłam miejsce z tyłu.

Minęło dużo czasu, zanim któreś z nas się odezwało.

Rodzina to system.

DZIŚ CIĘŻKO BY BYŁO ZLICZYĆ wszystkie miasta, w których mieszkaliśmy. I wszystkie nazwiska, które przybraliśmy. Moje dzieciństwo przypomina kolaż nowych twarzy, nowych miejsc i tych samych starych walizek. Przyjeżdżaliśmy na miejsce, szukaliśmy najtańszego lokum, tata wychodził kolejnego dnia wcześniej rano i wracał, oznajmiając, że znalazł pracę jako kierownik w McDonalddie, sprzedawca albo że zahaczył się w punkcie wywoływania zdjęć. Mama rozpakowywała nasz skromny dobytek. Mnie posyłali do kolejnej szkoły.

Przestałam być taką gadułą jak kiedyś. Mama też jakoś zmarmotniała.

Tylko tata był konsekwentnie, na przekór wszystkiemu, pogodny.

– Phoenix! Zawsze chciałem się przekonać, jak to jest mieszkać na pustyni. Cincinnati! Wreszcie miasto dla mnie. St. Louis! Wprost idealne miejsce dla naszej trójki!

Nie przypominam sobie, żebym miewała koszmary. Albo przestały mnie nawiedzać ot tak, albo zostały zepchnięte gdzieś na bok przez bieżące problemy, z którymi przyszło mi się borykać. Kiedy wracałam ze szkoły, mama coraz częściej leżała kompletnie zamroczona na kanapie. Musiałam przejść przyspieszony kurs gotowania, bo nie była już w stanie wstawać. Zaparzałam kawę i usiłowałam wmusić w nią choć odrobinę. Szperałam po jej torebce w poszukiwaniu portfela, żeby zrobić jakieś zakupy, zanim ojciec wróci z pracy.

Tak naprawdę po dziś dzień nie mam pewności, ale wolę wierzyć, że o tym wiedział. W każdym razie dla mnie i dla mamy każda zmiana nazwiska wiązała się z oddaniem kawałka siebie. I tak stawałyśmy się coraz bardziej małowówne, z dnia na dzień upodabniając się do eterycznych cieni, którym przyszło podążać za porywistym nurtem wyznaczanym przez ojca.

Zrobiła to, kiedy miałam czternaście lat. W Kansas City. Mieszkaliśmy tam dziewięć miesięcy. Tata awansował na dyrektora oddziału motoryzacyjnego Sears. Ja szykowałam się do pierwszej potańcówki.

Wróciłam do domu. Mama – wtedy nazywała się Stella – leżała na kanapie twarzą w dół. Tym razem żadne szturchnięcia jej nie obudziły. Jak przez mgłę pamiętam bieg przez korytarz. Dobijanie się do drzwi sąsiadów.

– Moja mama, moja mama, moja mama! – krzyczałam. A biedna pani Torres, której nikt z nas nigdy nie uraczył uśmiechem ani kiwnięciem ręką, otworzyła drzwi, popędziła korytarzem i po chwili ze łzami w oczach stwierdziła, że mama nie żyje.

Przyjechała policja. I karetka. Patrzyłam, jak wynoszą ciało mamy i jak z jej kieszeni wyslizguje się pomarańczowa fiolka po tabletkach na receptę. Jeden z policjantów podniósł ją z podłogi. Popatrzył na mnie pełen współczucia.

- Czy powinniśmy kogoś zawiadomić?
- Tata będzie niedługo w domu.

Zostałam u pani Torres. Siedziałyśmy w jej salonie wśród unoszącego się zapachu papryki jalapeño i tamales. Podziwiałam jej krzykliwe kwieciste poduszki na zniszczonej brązowej kanapie i zasłony w jaskrawe pasy. Zastanawiałam się, jak by to było mieć znowu prawdziwy dom.

W końcu tata wrócił. Gorąco podziękował pani Torres i pospiesznie wyprowadził mnie z jej mieszkania.

– Rozumiesz, że nie możemy im nic powiedzieć? – powtarzał w kółko, dopóki nie znaleźliśmy się w naszym mieszkaniu. – Zdajesz sobie sprawę, że musimy być ostrożni. Nie możesz pisać ani słówka, Cindy. Ani słówka. Stąpamy po cienkim lodzie.

Kiedy wrócili policjanci, to on z nimi rozmawiał. Ja podgrzewałam w tym czasie rosół w naszej małej kuchni, bo choć nie byłam głodna, bardzo chciałam, żeby w naszym mieszkaniu zapachniało jak u pani Torres. Strasznie chciałam też, żeby była z nami mama.

Zastałam później ojca skulonego na kanapie, jak tulił jej postrzępiony różowy szlafrok i nie mogąc się dłużej powstrzymać, szlochał, szlochał i szlochał.

Wtedy po raz pierwszy spał w moim łóżku. Wiem, co myślicie, ale zapewniam, że nie chodziło o żadną z tych rzeczy.

Rodzina to system.

NA WYDANIE CIAŁA MAMY czekaliśmy trzy miesiące, bo śledczy domagali się przeprowadzenia sekcji zwłok. Nigdy się nie dowiedziałam dlaczego. W końcu nam ją wydano. Towarzyszyliśmy jej w drodze z kostnicy do domu pogrzebowego. Ciało ułożono w pudle podpisanym obcym nazwiskiem i wsunięto do pieca.

Tata kupił wcześniej dwie małe fiolki na łańcuszku. Jedną dla siebie. Jedną dla mnie.

W ten sposób – wytłumaczył mi – mama zawsze miała być blisko naszych serc.

Leslie Ann Granger. Tak się naprawdę nazywała. Tata napełnił fiolki popiołem i zawiesiliśmy je sobie na szyi. Resztę rozrzuciliśmy na wietrze.

Po co kupować grobowiec, który tylko scementowałby kłamstwo?

Wróciliśmy do mieszkania i tym razem ojciec nie musiał nawet nic mówić, walizki spakowałam już trzy miesiące wcześniej. Nie musiałam się też już martwić o Boomera i kocyk. Włożyłam je do drewnianego pudła ze zwłokami mamy, aby razem z nią poszły do ognia.

Kiedy umiera ci matka, czas najwyższy wydorosnąć.

WYBRAŁAM DLA SIEBIE IMIĘ Sienna, a dla taty Billy Bob, choć pozwoliłam mu używać skrótu B.B. Przewrócił tylko oczami i jakoś to przeboleał. Skoro tym razem to ja wybrałam imiona, jemu pozostawiłam wybór miasta, a ponieważ zawsze chciał pojechać na Zachodnie Wybrzeże, udaliśmy się do Seattle.

Radziliśmy tam sobie całkiem nieźle, każde na swój sposób. Tata ponownie zatrudnił się w Sears i nawet nie ujawniając tego, że kiedyś już dla nich pracował, piął się po szczeblach kariery, awansując na coraz to wyższe stanowiska. Mnie przyjęto do kolejnej przepełnionej, niedofinansowanej szkoły, gdzie zniknęłam w bezimiennym tłumie przeciętniaków.

Zaliczyłam też swój pierwszy bunt młodzieńczy: wstąpiłam do Kościoła Kongregacyjnego. Niewielka świątynia znajdowała się przecznicę dalej. Przechodziłam tamtędy codziennie w drodze do szkoły i z powrotem. Któregoś dnia z ciekawości wsunęłam głowę do środka. Kolejnego

dnia usiadłam. Trzeciego dnia uciąłam sobie pogawędkę z wielebnym.

Bardzo chciałam wiedzieć, czy Bóg wpuści do nieba kogoś, kogo pochowano pod innym nazwiskiem.

Tego popołudnia długo z nim rozmawiałam. Miał okulary grubości denek od słoika, rzadkie siwe włosy i miły uśmiech. Kiedy wróciłam do domu, było już po szóstej, tata czekał na mnie, ale na stole nie było żadnego jedzenia.

– Gdzie byłaś? – zapytał.

– Trochę się spóźniłam, bo...

– Nawet nie wiesz, jak się martwiłem.

– Nie zdążyłam na autobus. Zagadałam się z nauczycielką o pracy domowej. I... musiałam wracać na piechotę do domu. Nie chciałam cię niepokoić w pracy – paplałam bez ładu i składu. Policzki mi płonęły i sama słyszałam, że moje wykrety nie brzmią przekonująco.

Tata długo marszczył czoło.

– Zawsze możesz do mnie zadzwonić – powiedział nagle.

– Tkwimy w tym razem, maleńka.

Zmierwił mi włosy, a ja poczułam ogromną tęsknotę za mamą.

Przygotowując w kuchni zapiekankę z tuńczyka, odkryłam, że od kłamstwa, tak jak od każdej innej rzeczy, można się uzależnić. Wiedziałam już, że powiem ojcu, że zapisałam się do jakiejś grupy dyskusyjnej, i dzięki temu będę mogła spędzać popołudnia w kościele, słuchając prób chóru, rozmawiając z wielebnym i zwyczajnie chłonąc atmosferę tego miejsca.

Zawsze miałam długie włosy. Kiedy byłam mała, mama zaplatała mi je w warkocz. Jako nastolatka zaczęłam ich używać jako zasłony, pod którą starałam się ukryć jak największą część twarzy. Któregoś dnia doszłam jednak do wniosku, że nie ma sensu zasłaniać tego, co mam najładniejsze, wstąpiłam więc do fryzjera i ścięłam je.

Tata nie odzywał się do mnie przez tydzień.

Potem, siedząc w kościele i obserwując przewijających się tam ludzi, odkryłam, że moje za duże bluzy są bez wyrazu, a powypychane spodnie – niedopasowane. Podobali mi się ludzie, których ubrania były w żywych kolorach. Podobał mi się sposób, w jaki ich twarze wzbudzały zainteresowanie i sprawiały, że każdy zwracał uwagę na ich uśmiech. Ci ludzie wyglądali na szczęśliwych. Normalnych. Kochających. Założę się, że kiedy ktoś pytał ich o imię, nie musieli się najpierw ładnych kilka sekund zastanawiać nad odpowiedzią.

Tak więc kupiłam nowe ciuchy. Niby na potrzeby grupy dyskusyjnej. Zaczęłam też spędzać każdy poniedziałkowy wieczór w jadłodajni dla bezdomnych – szkolny wymóg, wyjaśniłam ojcu. Każdy musiał odpracować pewną liczbę godzin na rzecz społeczności. Był tam taki jeden chłopak, też pracował jako wolontariusz. Szatyn. Brązowe oczy. Matt Fisher.

Matt zabrał mnie pewnego razu do kina, nie pamiętam już, co to był za film, ale pamiętam, jak poczułam jego rękę na swoim ramieniu, potem swój własny przyspieszony oddech i pocące się dłonie. Po kinie poszliśmy na lody. Padało, a on przytrzymał swój płaszcz nad moją głowę.

A potem, gdy stałam opatulona w jego skropiony wodą kolońską płaszcz, po raz pierwszy mnie pocałował.

Do domu wracałam jak na skrzydłach. Rękami obejmowałam się w talii, na twarzy miałam rozmarzony uśmiech.

Tata powitał mnie przy drzwiach wejściowych. W głębi domu majaczyło pięć walizek.

– Wiem, co robiłaś – oznajmił.

– Ciii – powiedziałam i przytknęłam palec do ust. – Ciii...

Tańcząc, minęłam osłupiałego ojca i udałam się do swojego małego pokoiku bez okien. I przez osiem godzin po prostu

leżałam, pozwalając sobie na bycie szczęśliwą.

Do dzisiaj myślę czasem o Matcie Fisherze. Czy jest żonaty? Czy doczekał się trójki dorodnych dzieciaków? Czy czasem wspomina dziewczynę, którą raz pocałował i której nie spotkał już nigdy więcej?

Kiedy wstałam rano, ojca nie było. Wrócił koło południa z kolejnymi fałszywymi dokumentami.

– I nie chcę słyszeć żadnych narzekania na imiona – zaznaczył, widząc, jak się krzywię na widok danych Tany Nelson, córki Michaela. – I tak kosztowało mnie to dwa patyki.

– Ale to ty wybrałaś imiona.

– Tylko takie mogli mi zaofiarować.

– Tak czy siak, to ty załatwiłaś imiona – upierałam się.

– W porządku, w porządku, niech będzie.

W obu rękach trzymał już walizki. Wyprostowałam się i skrzyżowałam ręce na piersi. Starłam się być stanowcza.

– Ty wybrałaś imiona, ja wybieram miasto.

– W porządku, jak tylko wsiądziemy do samochodu.

– Boston – oznajmiłam.

Zauważyłam, jak lekko rozszerzyły mu się źrenice. Byłam niemal pewna, że walczy ze sobą, że bardzo chciałby się sprzeciwić. Ale zasady to zasady.

Rodzina to system.

KIEDY CAŁE ŻYCIE UCIEKASZ przed Czymś Straszynym, musisz się czasem zastanawiać, jak to będzie, kiedy To cię wreszcie dopadnie. Tata nigdy się o tym jednak nie przekonał.

Policja poinformowała mnie, że nieostrożnie zszedł odrobinę z krawężnika, czekając na przejściu dla pieszych. Pędząca taksówka nie dała mu szans. Zginął na miejscu. Jego ciało zostało odrzucone na sześć metrów, a latarnia, na której się zatrzymał, wygięła się od ogromnej siły uderzenia.

Miałam wtedy dwadzieścia dwa lata. Wreszcie przebrnęłam przez z pozoru nieskończoną ścieżkę edukacyjną. Pracowałam w Starbucksie. Dużo spacerowałam. Odkładałam pieniądze na maszynę do szycia. Założyłam własny interes: zajmowałam się dekoracją okien oraz projektowaniem ozdobnych poduszek.

Polubiłam Boston. Wróciłam do miasta swojego dzieciństwa i wcale nie paraliżował mnie strach. Wręcz przeciwnie, czułam się całkiem bezpiecznie wśród ciągle przemieszczających się tłumów. Uwielbiałam przechadzać się po Public Garden, oglądać wystawy sklepowe na Newbury Street. Polubiłam nawet powroty jesieni, kiedy to w powietrzu czuło się zapach dębów, a noce stawały się rześkie i coraz chłodniejsze. Znalazłam niewyobrażalnie małe mieszkanie w pobliżu cukierni Mike's, tak by móc wpadać na ulubione cannoli, kiedy tylko miałam ochotę. Powiesiłam zasłony. Kupiłam psa. Nauczyłam się nawet przyrządzać tamales. Wieczorami, wyglądając przez zakratowane okno na piątym piętrze, obserwowałam anonimowych przechodniów, ściskając w ręce fioletową chusteczkę z prochami mamy.

Powiedziałam sobie, że jestem już dorosła, że nie mam się czego bać. Przeszłością kierował mój ojciec. Ale przyszłość należała do mnie i nie zamierzałam jej spędzić na ucieczce. Nie przez przypadek wybrałam Boston i to tu chciałam zapuścić korzenie.

I nagle pewnego dnia wszystko wróciło. Spojrzałam na pierwszą stronę „Boston Herald”. Po dwudziestu pięciu latach obwieszczono światu, że nie żyję.

Rozdział 2

DZWONIE TELEFON.

Bobby przewrócił się na bok. Chwycił poduszkę. Przycisnął ją do ucha.

Telefon dzwonił.

Rzucił poduszkę w kąt. Naciągnął kołdrę.

Telefon dzwonił.

Jęk. Niechętnie uniósł jedną powiekę. 2.32 w nocy.

Cholerny świat... Wyciągnął rękę, wymacał słuchawkę i przyłożył ją do ucha.

– Czego?

– Przyjemniaczek jak zawsze...

– Bobby Dodge, detektyw policji stanu Massachusetts – wymamrotał głośniej. – To mój drugi dzień. Nie mówcie mi, proszę, że wzywacie mnie w drugim dniu. Bez przesady!

Komórki mózgowy z opóźnieniem wracały do pracy.

– Poczekaj! – rzucił.

– Wiesz, jak dojechać do dawnego szpitala psychiatrycznego w Mattapan? – zapytała na drugim końcu linii detektyw D.D. Warren z bostońskiej policji.

– A czemu?

– Mamy tu miejsce zbrodni.

– Wy, czyli bostońska policja. Powodzenia. Ja wracam

spać.

– Masz trzydzieści minut.

– D.D... – Bobby usiadł, teraz już zupełnie obudzony i w nastroju ani trochę nie do żartów. Niejedno razem przeszli, ale 2.30 w nocy to 2.30 w nocy. – Ty i twoi kumple chcecie podręczyć trochę nowicjusza, postawić się w jak najlepszym świetle. Jestem za stary na tego typu numery.

– Musisz to zobaczyć – stwierdziła krótko.

– Zobaczyć co?

– Trzydzieści minut, Bobby. Nie włączaj radia. Nie słuchaj żadnych komunikatów. Chcę, żebyś to zobaczył na świeżo. – Na chwilę przerwała. A potem cicho dodała: – Bobby, przygotuj się, że tym razem będzie naprawdę paskudnie.

I rozłączyła się.

WYCIĄGANIE Z ŁÓŻKA w środku nocy nie było dla Bobby'ego Dodge'a niczym nadzwyczajnym. Prawie osiem lat służył jako snajper w Specjalnej Grupie Taktyczno-Operacyjnej policji stanu Massachusetts, gotowy na wezwanie dwadzieścia cztery godziny na dobę i ganiany do pracy w większość weekendów i dni wolnych. Wtedy mu to nie przeszkadzało. Traktował to jak wyzwanie, czuł dumę, że jest członkiem tak elitarnej drużyny.

Ale dwa lata temu jego kariera stanęła pod znakiem zapytania. Bobby zastrzelił człowieka. Władze uznały oczywiście użycie broni za uzasadnione, ale od tej pory wszystko się zmieniło. Kiedy sześć miesięcy temu złożył rezygnację, nikt nie próbował odwieść go od tej decyzji. Ale od niedawna, odkąd pomyślnie zdał egzamin na detektywa, wszyscy się zgadzali, że to może być dla niego nowy początek.

I tak oto dwa dni temu znalazł się w wydziale zabójstw. Przydzielono mu kilka spraw, z których żadna nie była priorytetowa, i czekano, aż powinie mu się noga. Jeśli tylko

udowodni, że nie jest skończonym idiotą, to może pozwoli mu poprowadzić śledztwo. A może będzie tym szczęśliwcem, którego wyrwą z łóżka w środku nocy do naprawdę wielkiej sprawy. Detektywi lubili żartować, że wszystkich zabójstw dokonuje się między 3.05 rano a 4.50 po południu. Tak aby musieli zaczynać pracę wcześniej rano, a kończyć późną nocą.

Telefony o północy stanowiły niezmienny element scenariusza. Tyle tylko, że były to telefony od kogoś z policji stanowej, a nie od detektywów z bostońskiej policji.

Bobby zmarszczył czoło, próbując to sobie jakoś wszystko poukładać. Z reguły bostońscy gliniarze nie palili się do wpuszczania stanowych na własne podwórko. Co więcej, gdyby naprawdę potrzebowali konsultacji, zwróciliby się do swojego przełożonego, który z kolei skontaktowałby się z przełożonym Bobby'ego i cała procedura odbyłaby się z odpowiednią dozą jawności i zaufania.

Ale D.D. zadzwoniła bezpośrednio do niego. Dlatego wciągając pospiesznie spodnie, usiłując włożyć koszulę z długimi rękawami i ochlapując twarz strumieniami zimnej wody, coraz mocniej się upewniał, że D.D. nie potrzebowała pomocy policji stanowej, tylko jego pomocy.

I to wzbudziło w nim niepokój.

Zatrzymał się jeszcze na chwilę przy oświetlonej jedynie lampką nocną garderobie. Znalazł odznakę, pager, glocka .40 i niezastąpiony sprzęt każdego detektywa, minidyktafon Sony. Zerknął na zegarek.

D.D. chciała, żeby był na miejscu za pół godziny. Powinno mu się udać w dwadzieścia pięć minut. A to dawało mu dodatkowe pięć minut na wykombinowanie, co tak naprawdę jest grane.

Z MIESZKANIA BOBBY'EGO MOŻNA SIĘ BYŁO DOSTAĆ DO Mattapan

drogą I-93. Tylko w godzinach między trzecią a piątą nad ranem nie przypominała ona wijącego się i stale pęczniejącego węża samochodów, Bobby miał więc niezły czas.

Zjechał na Granite Avenue, kierując się w lewo, w stronę Gallivan Boulevard, a następnie w Morton Street. Na światłach zatrzymał się obok starego chevroleta, którego dwóch czarnoskórych pasażerów wymownie spojrzęło na jego fordę crown victory. Gapili się przez chwilę na niego z niezdradzającymi najmniejszych emocji minami. Bobby odpowiedział im radosnym kiwnięciem ręki. Gdy tylko zapaliło się zielone światło, ruszyli z piskiem opon, oddalając się z minami pełnymi pogardy.

To tyle, jeśli chodzi o współpracę policji z lokalną społecznością.

Ciągi sklepów zamieniły się w budynki mieszkalne. Bobby minął boczne uliczki, przy których tłoczyły się rzędy trzypiętrowych domów, a każdy kolejny był bardziej zaniedbany i zniszczony od poprzedniego. Dużą część Bostonu odnowiono w ciągu ostatnich lat, nad wodą wybudowano nowoczesne budynki mieszkalne. Nieczynne nabrzeża przekształcono w centra konferencyjne. Całe miasto poddano strategicznym i kosmetycznym przeróbkom na potrzeby wielkiej przebudowy tranzytowego układu komunikacyjnego.

Niektóre dzielnice wiele na tym zyskały. Mattapan najwyraźniej nie.

Kolejne światła. Bobby zwolnił i zerknął na zegarek. Zostało mu osiem minut. Skręcił w lewo i postanowił objechać cmentarz Mt. Hope. Ten manewr pozwolił mu obserwować przez boczną szybę powoli wyłaniający się zapomniany teren, na którym znajdowały się pozostałości Państwowego Szpitala Psychiatrycznego. Te siedemdziesiąt hektarów bujnie zalesionego terenu w samym środku metropolii stanowiło smakowity kąsek dla licznych inwestorów budowlanych. W

miejscu, które przez długi czas dawało schronienie obłąkanym i szaleńcom, do dziś pozostało coś upiornego.

Na szczycie wzgórza stały dwa rozpadające się budynki, mrugając do przechodniów roztrzaskanymi szybami okien. Olbrzymie przerośnięte dęby i buki zdawały się sięgać nocnego nieba, a ich nagie konary przypominały zdeformowane ludzkie dłonie.

Podobno szpital zbudowano w środku lasu, aby zapewnić pacjentom „pogodne” otoczenie. Po kilkudziesięciu latach przepelnienia oddziałów, przerażających krzyków w środku nocy i dwóch brutalnych morderstw okoliczni mieszkańcy ciągle opowiadali historie o światłach wydobywających się czasem z ruin, o upiornych jękach, które ponoć dochodziły z piętrzących się zwałów cegieł, i o niewyraźnych sylwetkach przemyskających niczym cienie w gęstwinie drzew.

Na razie żadna z tych historii nie odstraszyła potencjalnych deweloperów. Towarzystwo Przyrodnicze Audubon przejęło część terenu i zamieniło go w rezerwat przyrody. Rozpoczęto już przygotowania do olbrzymiej inwestycji, jaką była budowa nowoczesnych laboratoriów Uniwersytetu Massachusetts, ale cała dzielnica huczała od plotek, że mają tam być budynki komunalne albo nowy gmach szkoły.

Postęp wdzierał się wszędzie. Nawet do nawiedzonych szpitali psychiatrycznych.

Bobby dojechał do odległego końca cmentarza i wreszcie wypatrzył ekipę policyjną. W lewym rogu po szkieletach buków wtapiających się w gęstą bezgwiezdną noc ślizgały się ostre strumienie światła. W miarę przybywania radiowozów światła było coraz więcej, małe niebieskie i czerwone punkciki tańczyły po konarach drzew. Bobby chciał jeszcze stąd spojrzeć na sylwetkę dawnego szpitala, niewielką trzypiętrową ruinę, ale radiowozy skręcały, kierując się w głąb lasu.

D.D. nie kłamała. Bostońska policja miała tu miejsce

zbrodni, a patrząc na rozmiary akcji, nie była to pierwsza lepsza zbrodnia. Bobby przerwał okrażanie cmentarza. Została mu minuta, wjechał więc w zionącą ciemnością bramę i ruszył w stronę ruin na szczycie.

JUŻ PO CHWILI NATKNAŁ SIĘ NA stojącego na straży policjanta w pomarańczowej kamizelce odblaskowej, uzbrojonego w potężną latarkę. Wyglądał jak wyrośnięty dzieciak. Niemniej jednak, dokładnie przyglądając się odznace Bobby'ego, popatrzył na niego spode łba, starając się przybrać groźną minę. Kiedy się zorientował, że Bobby jest z policji stanowej, odchrząknął podejrzliwie.

– Jest pan pewien, że to właściwy adres? – zapytał.

– Nie mam pojęcia. Taki wstukałem w GPS-ie i oto gdzie mnie przywiało.

Gołową tępo się w niego wpatrywał. Bobby westchnął.

– Osobiście zaprosiła mnie detektyw Warren. Jeśli masz jakiś problem, załatwaj to sobie z nią.

– Chodzi panu o detektyw sierżant Warren?

– Sierżant. No proszę, proszę.

Gołową oddał Bobby'emu odznakę, a ten skierował się w stronę wzgórza.

Pierwszy opuszczony budynek ukazał się po lewej stronie, każda z drobnych szyb migotała odbijającym się światłem reflektorów jego samochodu. Ceglany szkielet zapadł się, drzwi wejściowe były zamknięte na kłódkę, między dachem a resztą budynku widać było ogromne szpary.

Bobby, minawszy kolejny budynek w jeszcze bardziej opłakanym stanie niż poprzedni, skręcił w prawo. Dalej na poboczu stały ciasno zaparkowane samochody, jeden za drugim, niemal stykając się zderzakami. Radiowozy, furgonetki koronera i techników walczyły o przestrzeń.

Z oddali wciąż było widać światła reflektorów. Odległa luna tonęła w spowitym ciemnością lesie. Bobby słyszał dochodzący z furgonetki techników szum generatora, ściągniętego do oświetlenia miejsca zbrodni. Wszystko wskazywało na to, że czeka go piesza wędrówka.

Zaparkował na zarośniętym polu obok trzech radiowozów. Chwycił latarkę, papier, długopis, a po chwili zastanowienia również ciepłą kurtkę.

Listopadowa noc była chłodna – kilka stopni na plusie – i spowita rzadką mgłą. W pobliżu nie było nikogo, ale światło latarki wystarczało, żeby podążać ścieżką wydeptaną przez śledczych, którzy przybyli tu przed nim. Jego buty przy każdym kroku powodowały głośnie szuranie.

W dalszym ciągu słyszał szum generatora, ale nie docierały do niego jeszcze żadne głosy. Schylił się, przedzierając się przez krzaki. Nim na powrót się wyprostował, ziemia pod stopami zaczęła się robić grząska. Mijając niewielką polanę, zauważył stertę odpadów – gnijące drewno, cegły, plastikowe wiadra. Nielegalny wywóz śmieci był w tym rejonie problemem od lat, ale dotyczył zazwyczaj terenów w pobliżu ogrodzenia. Nikt by się raczej nie zapuścił tak głęboko. Musiały to być śmieci jeszcze z czasów szpitala albo może pozostałości po którymś z projektów budowlanych. Przy słabym świetle latarki nie dało się określić, jak długo tu leżały. Szum stawał się coraz głośniejszy, stopniowo przechodząc w głucho wycie. Bobby wtulił głowę w kołnierz kurtki, starając się osłonić uszy. Mając za sobą dziesięcioletni staż, widział już niejedno miejsce zbrodni. Doskonale znał te odgłosy, ten zapach.

Ale tym razem był tu w roli detektywa. I może dlatego wszystko wydawało się odrobinę inne. Minął jeszcze kilka drzew i nagle się zatrzymał.

Ludzie. Wszędzie. Większość w garniturach, około piętnastu, może osiemnastu detektywów, do tego kilkunastu

mundurowych i siwiejący dostojni mężczyźni ubrani w grube wełniane płaszcze. Wyżsi rangą oficerowie, Bobby kojarzył ich z okolicznościowych imprez pożegnalnych, które organizowano odchodzącym na emeryturę szychom. Dojrzał też policyjnego fotografa i w końcu zauważył samotnie stojącą kobietę – jeśli go pamięć nie myliła, asystentkę prokuratora okręgowego.

Mnóstwo ludzi, zważywszy na to, że według dawno wprowadzonych w życie przepisów każda z osób, która wkraczała na teren miejsca zbrodni, była zobowiązana złożyć pisemny raport. To zazwyczaj wystarczało, aby odstraszyć niższych rangą policjantów, a co ważniejsze – żeby odstraszyć grube ryby.

Ale dziś byli tu wszyscy; przemieszczali się w niewielkich grupkach w świetle policyjnych reflektorów, przytupując, aby się trochę rozgrzać. Strefa zero musiała się znajdować przy końcu polany, bo właśnie nad tą częścią rozciągnięto niebieski brezentowy dach. Stąd jednak Bobby w dalszym ciągu nie mógł dojrzeć niczego, co by sugerowało, że jest to miejsce zbrodni, nawet pod osłoną brezentu.

W zasięgu wzroku miał jedynie polanę, rozciągającą się nad jej częścią zadaszenie i mnóstwo bardzo cichych śledczych.

To wystarczyło, by ciarki przebiegały po plecach.

Z lewej strony doszedł go szelest. Odwrócił się i ujrzał dwoje ludzi nadchodzących drugą ścieżką. Na przedzie szła kobieta w kombinezonie ochronnym, tuż za nią młody mężczyzna, jej asystent. Bobby od razu ją poznał. Christie Callahan z biura okręgowego koronera. Callahan pełniła funkcję antropologa sądowego.

– O cholera – rzucił pod nosem.

Znowu jakiś ruch. Nagle spod niebieskiego zadaszenia wyłoniła się D.D. Spojrzenie Bobby'ego omiotło jej bladą twarz o regularnych rysach i kombinezon ochronny, a następnie

powędrowało w stronę nieprzeniknionych ciemności, z których się wyłoniła.

– O cholera – mruknął raz jeszcze, ale było już za późno. D.D. zmierzała w jego kierunku.

– Dzięki, że przyjechałeś – powiedziała.

Stali przez chwilę, nie bardzo wiedząc, czy uściśnąć sobie dłonie na przywitanie, czy może cmoknąć się w policzki. W końcu D.D. dała mu wyraźny sygnał, splatając z tyłu ręce. Ostatecznie byli tu służbowo.

– Nie wystawiłbym do wiatru detektyw sierżant – powiedział Bobby, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

D.D. lekko się uśmiechnęła na dźwięk swojego nowego stopnia, ale powstrzymała się od komentarza. To nie był ani odpowiedni czas, ani miejsce.

– Fotograf zrobił już pierwsze zdjęcia – powiedziała szybko. – Czekamy, aż uwinie się operator kamery i będziesz mógł zejść.

– Zejść?

– Miejsce zbrodni znajduje się w podziemiach, zejście osłania daszek. Nie martw się, jest tam drabinka. Zresztą nietrudno tam się dostać.

Bobby trawił przez chwilę te informacje.

– Jak duże są te podziemia?

– Pomieszczenie ma jakieś metr osiemdziesiąt na trzy metry. Tak mi się wydaje. Pilnujemy, żeby nie przebywały tam więcej niż trzy osoby jednocześnie, bo wtedy ciężko się poruszać.

– Kto to odkrył?

– Dzieciaki. Zeszłej nocy. Pewnie urządzili sobie popijawę albo oddawali się innym przyjemnościom. Wydawało im się, że to świetna meta, dlatego wrócili tu dzisiejszej nocy. Już więcej tego nie zrobią.

– Są ciągle gdzieś w pobliżu?

– Nie, ekipa medyczna podała im środki uspokajające i zabrała ich. Tak będzie lepiej. Dla nas i tak są bezużyteczni.

– Mnóstwo tu detektywów.

– Owszem.

– Kto dowodzi?

Jej podbródek uniósł się nieznacznie.

– Padło na mnie.

– Przykro mi, D.D.

Wykrzywiła usta. Teraz, kiedy stali tylko we dwoje, jej przygnębienie stało się bardziej widoczne.

– Tak, szkoda gadać.

Za ich plecami ktoś odchrząknął.

– Pani detektyw sierżant?

Z namiotu wyłonił się operator kamery i czekał na dalsze wskazówki.

– Będziemy filmować poklatkowo – rzuciła D.D. – Mniej więcej co godzinę, żeby mieć wszystko na bieżąco. Napij się gorącej kawy, jeśli masz ochotę, jest w furgonetce. Ale nie oddalaj się, Gino, tak na wszelki wypadek.

Operator skinął głową i udał się do furgonetki, gdzie na pełnych obrotach pracował generator.

– W porządku, Bobby. Idziemy.

Ruszyła, nie upewniając się, czy Bobby podąży za nią.

Pod zadaszeniem znalazł kombinezon i buty ochronne oraz specjalną siatkę na włosy. Włożył kombinezon, a D.D. wymieniła ubłocone obuwie ochronne na świeże. Obok leżały też maski z wyciętymi otworami na oczy i usta, ale skoro ona je zignorowała, Bobby postanowił zrobić tak samo.

– Pójdę pierwsza – powiedziała. – Krzyknę „Droga wolna”, kiedy dotrę na sam dół. Wtedy ty zaczniesz schodzić.

Wskazała w głąb. Z niewielkiego otworu, o wymiarach mniej więcej sześćdziesiąt na sześćdziesiąt centymetrów, sączyło się światło. Wystawał z niego koniec metalowej

drabinki. Bobby miał dziwne uczucie déjà vu, jakby gdzieś już to widział, ale nie umiał dokładnie określić gdzie.

I wtedy nagle do niego dotarło. Wiedział, dlaczego D.D. po niego zadzwoniła. I wiedział już, co zobaczy na dole.

Delikatnie dotknęła jego ramienia; przeszedł go dreszcz, a ona natychmiast cofnęła rękę. Jej niebieskie oczy patrzyły posępnie, a na tle bladej twarzy wydawały się nienaturalnie duże.

– No to widzimy się za chwilę – powiedziała cicho.

Ruszyła w dół drabinki i zniknęła.

Dwie sekundy później usłyszał jej głos:

– Droga wolna.

Bobby zszedł w otchłań.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).